

BIBLIOTEKA MIŁOSNIKÓW SCENY.

10.

ZAPROSZENIE DO WALCA

Komedia w 1-ym akcie

PRZEZ

ALEKSANDRA DUMASA



WARSZAWA. JAN EISZER.

TANOK.

Cena kop. ■.

Mieczysław Galski

BIBLIOTEKA MIŁOŚNIKÓW SCENY

10.

ZAPROSZENIE DO WALCA

KOMEDYA W JEDNYM AKCIE.

PRZEZ

Aleksandra Dumasa.





Дозволено Цензурою.
Варшава, 26 Ноября, 1902 года.

K-86/77/82008

O S O B Y.

MAURYCY, kapitan.
DE SOR, adwokat.
STROICIEL FORTEPIANÓW.
ZEGARMISTRZ.
PIOTR. { służący pani d'Ivry.
JAN. {
PANI d'IVRY, wdowa.
MATYLDA, jej siostra.
RÓZIA, pokojówka.

Elegancki buduar w mieszkaniu pani d'Ivry. Na lewo—fortepian; na prawo — kominek; w głębi—drzwi. Na prawo i lewo—drzwi boczne.

SCENA PIERWSZA.

PIOTR, JAN, STROICIEL FORTEPIANÓW, później RÓZIA.

(Za podniesieniem zastony wszyscy biegają po scenie, mocno zajęci.—Pierwszy służący stoi na krześle i opiera świecę w świeczniku. — Drugi zajęty przy kandelabrach na kominku.—Stroiciel przy fortepianie).

PIOTR *(wołając)*

Panno Róziu!... panno Róziu!

RÓZIA *(wchodząc)*

Cóż to za gwałt, panie Piotrze?

PIOTR.

Z przeproszeniem panny Róży, brak nam jeszcze trzech świec do świecznika i dwóch do kandelabrow.

RÓZIA.

Oto są, ale niech te wystarczą, gdyż więcej nie mamy.

STROICIEL *(strojąc fortepian)*

Dzing!

SCENA DRUGA.

CIŻ SAMI. — MATYLDA.

MATYLDA (*wchodząc żywo*).

I cóż Róziu, a kwiaty?.. Gdzież są kwiaty?

RÓZIA.

Przepraszam panienkę, lecz nie wiedziałam, czy mam ich narwać w ogrodzie, czy też wziąć z oranżeryi. Czekalam rozkazu.

MATYLDA.

Nie potrzeba, już ja sama się tem zajmę. (*wołając*) Piotrze!... Piotrze!

PIOTR (*który wyszedł, powraca*)

Panienka mnie wołała?

MATYLDA.

Tak.

PIOTR.

Z przeproszeniem panienki, musiałem odejść...

MATYLDA.

Dobrze, dobrze... Skoro pan de Sor przyjdzie, dasz znać mojej siostrze.

PIOTR.

Jak zwykle.

MATYLDA (*śmiejąc się*).

Prędzej jak zwykle.

(*Idzie do stroiciela. kładzie mu rękę na ramieniu, ten wstaje, składa głęboki ukłon, poczem siada znowu i uderza w klawisze. — Matylda wychodzi*).

SCENA TRZECIA.

CIŻ SAMI prócz MATYLDY.

(*słysząc dzwonek*).

JAN.

Dzwonią!

RÓZIA.

Idź otworzyć, Janie. (*Jan wychodzi*). To pewno pan de Sor.

PIOTR.

Tak, to jego zwykła godzina, dzwoni zawsze równocześnie z uderzeniem zegara.

RÓZIA.

Z tą tylko różnicą, że zegar śpieszy się lub opóźnia czasami, a on nigdy.

PIOTR.

I owszem, dawniej zjawiał się zazwyczaj o ósmej, teraz zaś przychodzi punkt siódma.

RÓZIA.

Ba! to znaczy tylko, że przez rok posunął się zaledwie o jedną godzinę. Jak na zakochałego, to dowód wielkiego umiarkowania i rozsądku.

STROICIEL.

Dzing!

SCENA CZWARTA.

CIŻ SAML. — PAN DE SOR.

JAN (*wprowadzając przybyłego*)

Proszę, niech pan raczy wejść, pani...

PAN DE SOR (*przerywając mu*)

Kończy swoją tualetę, wiem o tem...

JAN.

Pani będzie widzialną...

DE SOR (*j w.*)

O ósmej... i to wiem również.

JAN.

Pani kazała poprosić pana...

DE SOR.

Abym na nią poczekał, jak zwykle... Od pięciu lat, mój kochany, witasz mnie zawsze

w jednakowy sposób, otrzymując w zamian jedną i tę samą odpowiedź.

JAN.

Tak, ale pan nie wie, że dzisiaj pani kazała donieść sobie natychmiast o pańskim przybyciu.

DE SOR.

Czy być może?

JAN.

Tak, proszę pana.

STROICIEL.

Dzing.

(*Piotr, Jani Rózia wychodzą.*)

SCENA PIĄTA.

PAN DE SOR. — STROICIEL.

DE SOR.

Co się tu u diabła dzieje? Dom przewrócony do góry nogami. Świece w świecznikach i kandelabrach, meble poprzestawiane, kwiaty w wazonach, służba w jakimś uroczystszymsztroju!... w dodatku rozkaz natychmiastowego meldowania mnie.

STROICIEL.

Dzing!

DE SOR.

I jako korona wszystkiego — strojenie fortepianu!... tego pocziwego, cichego fortepianu, którego niczem nieprzerwana drzemka tem silniej przywiązała mnie do tego domu. Od pięciu lat, jak tu bywam, po raz pierwszy słyszę jego głos. — A był taki wygodny do stawiania na nim kapelusza i opierania lasek!

STROICIEL.

Dzing!

DE SOR.

Trzeba zasięgnąć języka o wypadkach, które tu zajść musiały od wczorajszego wieczoru. (*zbliżając się do stroiciela*). Panie! (*stroiciel milczy*). Panie!

STROICIEL.

Dzing!

DE SOR.

Ten pocziwiec zdaje się być tak zaabsorbowany swoją robotą, że nie wie o bożym świecie. (*głośniej*). Panie! (*Milczenie — kładzie mu rękę na ramieniu, stroiciel zrywa się, oddaje głęboki ukłon, poczem znów zasiada do fortepianu*). — Panie! (*stroiciel pokazuje mu na migi, że jest głuchy*). Ah! więc on jest głuchy! Wcale wygodny przymiot przy fachu, jaki sobie obrał! Dowodzą prawdziwie, że ociemniali są muzycyści z natury, lecz nie przypuszczałem, by głusi

również cieszyli się tym przywilejem. Co prawda i Beethoven był głuchym, ale to był kompozytor, a nie stroiciel. Trzeba mówić głośniej, może mnie usłyszy!

STROICIEL.

Dzing!

DE SOR (*bardzo podniesionym głosem*)

Panie! co ci zawinił ten instrument, że się tak nad nim pastwisz?.. (*stroiciel pokazuje, że słyszy*). A, pan mnie słyszysz! doskonale... więc odpowiedz mi, proszę. (*stroiciel pokazuje, że jest niemy*). Dobryś!.. Głuchoniemy! Ha! ha! ha! to za wiele przymiotów... Takiego człowieka można śmiało wpuścić do swego domu.

SCENA SZÓSTA.

CIŻ SAML. — ZEGARMISTRZ.

ZEGARMISTRZ (*idąc wprost do zegara*).

Pan raczy darować...

DE SOR.

Z przyjemnością, tylko że nie wiem o co chodzi?

ZEGARMISTRZ.

Jestem tutejszym zegarmistrzem.

DE SOR.

I przychodzisz pan...

ZEGARMISTRZ.

Naregulować zegar, jeżeli pan nie masz nic przeciw temu...

DE SOR.

Bynajmniej, łaskawy panie... Trzymam się zdania Karola V... lubię dobrze idące zegary.— *(Wyciągając swój zegarek)*. Zdaje mi się, że mój zgadza się co do minuty...

ZEGARMISTRZ.

Zapewne jest regulowany podług giełdy lub pałacu Sprawiedliwości...

DE SOR.

Podług tego ostatniego, jestem adwokatem...

STROICIEL.

Dzing!

ZEGARMISTRZ.

Pani d'Ivry żąda, by jej zegary szły podług kolejowego, a wiadomo panu, że kolejowe spieszą się zwykle o siedm do ośmiu minut.

DE SOR.

A podług której kolei, jeśli wolno spytać?

ZEGARMISTRZ.

Podług lyońskiej.

DE SOR.

Co za szczególna myśl!

STROICIEL.

Dzing!

(Pauza, podczas której zegarmistrz nakręca zegar, wybijający godziny, a stroiciel uderza w klawisze).

DE SOR.

Nie, na honor! Jeżeli myśli, że ja tu przyszedłem, by słuchać tej kociej muzyki... *(Stroiciel, który skończył, wstaje, kłania się panu de Sor i wychodzi)*.

DE SOR.

Uniżony sługa... *(Zegarmistrz, skończywszy również, kłania się panu de Sor i wychodzi)*. Moje uszanowanie... *(Obaj oddalają się, przeprowadzeni wzrokiem pana de Sor. Matyllda wchodzi)*.

SCENA SIÓDMA.

DE SOR. — MATYLDA.

MATYLDA *(z pękiem kwiatów w ręku — nie widząc pana de Sor)*.

Róziu!.. Róziu!..

DE SOR.

Droga Matyldo!

MATYLDA.

Pan de Sor!

DE SOR.

Tak, tak, pan de Sor we własnej osobie, ale nie mogący sobie zdać sprawy, czy nie pomylił się przypadkiem i czy istotnie znajduje się u pani d'Ivry?

MATYLDA.

Możesz pan być zupełnie spokojnym co do tego.

DE SOR:

W takim razie, zlituj się nademną, moje dziecię i wyjaśnij mnie, co się tu dzieje?

RÓZIA (*wchodząc*)

Panienka mnie wołała?

MATYLDA (*do pana de Sor*)

Zaczekaj pan chwilę. (*do Rózi*). Ułóż te kwiaty (*n. s.*). Ja mam go wyjaśnić, co się tu dzieje! Biedny chłopiec! Wołałabym, żeby to wypowiedziały inne usta, nie moje, tem bardziej, że to rzecz mojej siostry...

DE SOR.

Czekam.

MATYLDA (*po chwili namysłu*).

Ah! pan się pytałeś, co się tu dzieje?

DE SOR.

Tak, jeżeli to nie jest zbyt niedyskretne z mojej strony?

MATYLDA.

Bynajmniej... Więc pan nie wiesz?..

DE SOR.

Nic, jak dotąd...

MATYLDA.

Jutro jej imieniny.

DE SOR.

Czyje?

MATYLDA.

Mojej siostry.

DE SOR.

O, przepraszam, ale o ile wiem, pani d'Ivry nosi imię Antoniny... a ponieważ Antonina po-

chodzi od Antoniego, więc, z przeproszeniem panienki, jak powiada Piotr, imieniny jej przypadają trzynastego Czerwca.

MATYLDA.

Prawda, ale moja siostra ma na drugie imię Edmea i z przeproszeniem pana, podobnie jak Antonina pochodzi od Antoniego, co zresztą niczego nie dowodzi, bo mamy jeszcze w kalendarzu Antonina biskupa... tak też i Edmea wzięte jest niezawodnie od Edmunda, a że jutro przypada właśnie świętego Edmunda...

DE SOR.

I to pani d'Ivry zaprowadziła tę zmianę?

MATYLDA.

Ona sama.

DE SOR.

Święty Antoni nie daruje jej tego nigdy!

MATYLDA.

Czy pan ma tak szczególną predylekcję do świętego Antoniego?

DE SOR.

Być może... Dosyć, że nie mogę pogodzić się z myślą, by pani d'Ivry nosiła imię pogańskie, choćby nawet świątobliwego Edmunda biskupa.

MATYLDA.

Pst... moja siostra nadchodzi. Nie mów pan jej o tem... to niespodzianka, którą gotujemy dla niej.

DE SOR.

No to przyznam się, że niespodzianka mogłaby być mniej jawną. Ale to nie moja rzecz, będę milczał jak grób, skoro pani żądasz.

SCENA ÓSMA.

CIŻ SAML. — PANI d'IVRY.

PANI d'IVRY (*podaje rękę de Sorowi, którą ten całuje z uszanowaniem*).

Dzień dobry, kochany mecenasie...

DE SOR.

Pani...

PANI d'IVRY.

Pozwolisz mi powiedzieć słówko Matyldzie?

DE SOR.

Proszę bardzo!

(*Pani d'Ivry idzie w głąb z Matyldą, rozmawiając po cichu. De Sor bacznie się im przygląda.*)



PANI d'IVRY (*głośno*).

Czy być może?

MATYLDA (*również*).

Tak.

PANI d'IVRY (*j w.*).

Ależ w takim razie... (*mówi dalej po cichu*).

MATYLDA (*głośno*).

W tej chwili...

PANI d'IVRY (*głośno*).

A ja sądziłam... (*mówią po cichu*).

MATYLDA (*głośno*).

Zatem niema chwili do stracenia.

PANI d'IVRY. (*j. w.*).

Naturalnie.

MATYLDA (*j. w.*)

A więc lecę... (*wychodzi drzwiami na prawo*).

PANI d'IVRY.

A ja z mojej strony... (*do pana de Sor*). Pan wybaczysz, że go opuszczę na chwilę. (*Wychodzi głębiej. — Obie powinny wybiedz nader szybko.*)

SCENA DZIEWIĄTA.

DE SOR. (*sam*).

Muszę wybaczyć, bo i na cóż by się zdało, choćbym protestował? — Wyznaję jednak, że mnie to wszystko zaczyna zastanawiać i dałbym wiele, by raz nareszcie zrozumieć, o co im chodzi. A może lepiej oddalić się ztąd?.. Chociaż nie, w mojem położeniu wyglądałoby to na ucieczkę z placu walki. Czekajmy więc cierpliwie i zaopatrmy się w jakąkolwiek broń... (*Bierze gazetę do ręki*). „Drobne ogłoszenia.“ Nie posądzaj mnie chyba o wybór zbyt ostrej broni.

SCENA DZIESIĄTA.

PAN DE SOR. — PANI d'IVRY.

PANI d'IVRY (*wchodzi*).

Pan czytasz?

DE SOR.

Jak pani widzi, jestem zatopiony w czytaniu.

PANI d'IVRY.

I cóż pana tak wielce zajęło?

DE SOR.

Drobne ogłoszenia.

PANI d'IVRY.

Czy nie słyszałeś pan przypadkiem o jakiej ładnej willi do wynajęcia.

DE SOR.

Nie, pani, mam na widoku tylko skromną chatkę...

PANI d'IVRY.

I gorące serce...

DE SOR.

Tylko, że serce nie jest do wynajęcia, ale do zabrania na własność.

PANI d'IVRY.

Od jak dawna?

DE SOR.

Od lat pięciu... Niestety!

PANI d'IVRY (*zamyślona*).

Od lat pięciu?... Czy to być może?

DE SOR.

Pani się to wydaje krótko?

PANI d'IVRY.

Przeciwnie... Ale wiesz pan, że mnie to po-

rządnie postarza... (*wzdycha*). Przed pięcioma laty...

DE SOR.

Co?

PANI d'IVRY.

Byłam młodą.

DE SOR.

Przysięgam pani, że dziś jesteś jeszcze młodszą.

PANI d'IVRY.

Ile się panu należy za ten komplement?

DE SOR.

Radzę pani nie płacić za nic, gdyż mógłbym panią wkrótce zrujnować...

PANI d'IVRY.

Więc pięcioletnie niepowodzenie nie zraziło pana?

DE SOR

Widzi pani, ja jestem podobny do tych graczy, dla których przyjemność wygranej równoważy przegraną.

PANI d'IVRY.

A czy odważyłbyś się pan przegrywać i przez następne pięć lat?

DE SOR.

To mnie nie przestraszy ani zniechęci, czuję w sobie zbyt znaczny zasób miłości, abym nie miał dalej próbować szczęścia.

PANI d'IVRY.

Ostrożnie!.. Wszakże po dziesięcioletniem oblężeniu i Troja poddać się musiała. Mógłbyś pan ztąd wyprowadzić wniosek, że pozwalam mu mieć nadzieję.

DE SOR.

Chwytam panią za słowo... Dziesiątego roku Troja uleść musiała... Dla większej ścisłości — przejdźmy do dat. Racz mi pani powiedzieć, w którym miesiącu i dniu...

PANI d'IVRY.

Zkądże ja mam wiedzieć? To tak, jak ja bym pana pytała, z której strony wiatr wieje?

DE SOR.

Odpowiedziałbym pani natychmiast, że od południo-wschodu... Od Włoch, od Florencyi, gdzie ujrzałem panią po raz pierwszy.—Było to piętnastego maja, 1882 r.

PANI d'IVRY.

A dziś którego mamy?

DE SOR.

29 listopada, 1887 roku.

PANI d'IVRY.

Co za lokalna pamięć!

DE SOR.

Muszę ją mieć za panią i za siebie.

PANI d'IVRY.

Ha! widzę, że najchwalebniej z mojej strony będzie odebrać panu raz na zawsze prawo do wszelkiej nadziei.

DE SOR.

Uprzedzam panią, że to się na nic nie zdało.

PANI d'IVRY.

Co za uparty człowiek!

DE SOR.

Powiedz pani raczej: uparte serce!

PANI d'IVRY.

Ależ powtarzam panu, że to do niczego nie doprowadzi.

DE SOR.

A jeżeli mnie to nie zraża...

PANI d'IVRY.

Wszak już mówiłam panu, że Maurycy...

DE SOR.

Zgoda, pomówmy o kapitanie, bo ten pan jest kapitanem, jeżeli się nie mylę...

PANI d'IVRY.

Tak jest. Czyż nie posłałam panu „Monitora“ z jego nominacją?

DE SOR.

Wzruszyła mnie ta uprzejmość z pani strony... Przeklęty kapitan!

PANI d'IVRY.

Przeklęty kapitan!.. Co to ma znaczyć?

DE SOR.

To ma znaczyć, że skoro jego nominacja została urzędowo ogłoszona, nie pozostaje mi nic innego, jak wymienić przynależny mu tytuł... powtarzam więc raz jeszcze: przeklęty kapitan!

PANI d'IVRY.

Cóż on panu zawinił?

DE SOR.

Pani się pytasz? Ależ ten nędznik skradł mi twoje serce!

PANI d'IVRY.

Mylisz się pan, gdyż kocham kapitana od lat siedmiu, co zaś do pana...

DE SOR.

Dokończ pani, proszę.

PANI d'IVRY.

Co zaś do pana, dopiero pięć lat, jak go.. nie kocham. Widzisz więc, że twoja nienawiść względem niego jest całkiem nie logiczną.

DE SOR.

Nienawidzę wojskowych... w ogóle.

PANI d'IVRY.

Czy to przez zazdrość?

DE SOR.

Cóż znowu! Czegoż miałbym im zazdrościć?.. ja, adwokat—czyli człowiek z urzędu spokojny?

PANI d'IVRY.

Ładny mi spokój, oparty na wyciąganiu korzyści z nieporozumień rodzinnych!

DE SOR.

Trudno, każdy żyć musi!

PANI d'IVRY.

Pozwól więc i kapitanowi trzymać się tego zdania.

DE SOR.

Nigdy!

PANI d'IVRY.

Czemuż to?

DE SOR.

Bo nie jest wart życia...

PANI d'IVRY.

Z przyczyny?

DE SOR.

Że mnie od lat pięciu...

PANI d'IVRY.

Pieczę na wolnym ogniu?

DE SOR.

Czy na wolnym, czy na dużym, wszystko jedno, dosyć że, dzięki jemu, usycham od lat pięciu.

PANI d'IVRY.

Przyznasz pan w każdym razie, że jak na pięcioletnie usychanie, wyglądasz jeszcze wcale przyzwoicie...

DE SOR.

Zewnętrzny wygląd niczego jeszcze nie dowodzi.

PANI d'IVRY.

Jakto?

DE SOR.

Trzeba wnikać w głąb człowieka, w jego stronę duchową.

PANI d'IVRY.

Niech i tak będzie, wierzę panu i pozwalam mu usychać dla mnie tak długo, jak mu się podoba, byleś mi nie przeszkadzał żyć dla tamtego.

DE SOR.

Nic z tego.

PANI d'IVRY.

Ależ musisz się pan w końcu przyzwyczaić do tej myśli.

DE SOR.

Daj mi pani czas na to...

PANI d'IVRY.

Chyba, jak dotychczas, nie masz pan powodu uskarżać się...

DE SOR.

Naturalnie, skoro pani jesteś dłużniczką, a ja wierzycielem. Żądam jednak trochę czasu...

PANI d'IVRY.

Niepodobna!

DE SOR.

Racz się pani jaśniej tłómaczyć.

PANI d'IVRY.

Nie śmiem.

DE SOR.

Przestraszasz mnie, Antonino.

PANI d'IVRY.

Odwagi!

DE SOR.

Przyjechał!

PANI d'IVRY.

Nie, lecz gdybym ci oznajmiła, że przybywa jutro, co byś na to powiedział?

DE SOR.

Nic... tylko skorzystałbym z dzisiejszej nocy...

PANI d'IVRY.

W jaki sposób?

DE SOR.

By umrzeć z żalu.

PANI d'IVRY.

Zatem, poczuwszy od jutra jesteś pan nieboszczykiem.

DE SOR.

A! Teraz pojmuję, co znaczą te przygotowania!.. te świece w kandelabrach, te kwiaty w wazonach... ten zegar nastawiony podług czasomierza kolei lyońskiej... i to strojenie fortepianu! Czy pan kapitan grywa na fortepianie?

PANI d'IVRY.

Ze skończonym artyzmem.

DE SOR.

Tego tylko jeszcze brakowało!.. Nie znosi-

łem go dotychczas, ale obecnie nienawidzę go całą potęgą duszy... Żegnam panią.

PANI d'IVRY.

Gdzież pan podążasz?

DE SOR.

Gdzie mnie oczy poniosą, może nad rzekę... zresztą sam jeszcze nie wiem... (*chce wyjść*).

PANI d'IVRY.

Alfredzie!

DE SOR (*zatrzymując się*).

Co za wzruszające współczucie! Wszak to po raz pierwszy i to w tak bolesnej dla mnie chwili, raczysz pani nazywać mnie po imieniu.

PANI d'IVRY (*z uśmiechem*).

Skoro już postanowiłeś umrzeć...

DE SOR.

Nieodwołalnie.

PANI d'IVRY.

W takim razie, godzina zgonu powinna ci być obojętną i mam nadzieję, że nie odmówisz mi przyjemności spędzenia ze mną ostatnich chwil życia.

DE SOR (*siadając*).

Och! Antonino!

PANI d'IVRY.

On przyjeżdża dopiero jutro.

DE SOR.

Z rana czy wieczorem?

PANI d'IVRY.

W południe... dosyć, że o godzinie, w której pan nie przychodzisz nigdy.

DE SOR (*chce wstać*).

W istocie...

PANI d'IVRY.

Pozostań, jeżeli mnie kochasz.

DE SOR.

Jeżeli panią kocham?

PANI d'IVRY.

Zatem siadaj pan... Człowiek, wybierający się w tak daleką podróż, potrzebuje przecież skupić wszystkie swoje siły.

DE SOR.

Żartujesz, Antonino...

PANI d'IVRY.

Naturalnie, że żartuję...

DE SOR.

Z mego zgonu!

PANI d'IVRY.

Przedewszystkiem z pańskiego zgonu, gdyż w niego nie wierzę.

DE SOR.

Uwierzysz jutro!

PANI d'IVRY.

No, to uprzedzam pana, że jeżeli mi wypłacasz podobnego figła, nie chcę cię więcej na oczy widzieć. — A teraz pomówmy rozsądnie, kochany przyjacielu.

DE SOR.

Wcale ładna propozycja jak dla człowieka doprowadzonego do szału.

PANI d'IVRY.

Siadaj pan... tak... dobrze!

DE SOR.

Padam bezsilny...

PANI d'IVRY.

Jak się panu podoba... No więc, skoro pan posiadasz tak wyborną pamięć, cofnijmy się, jeżeli łaska, w przeszłość...

DE SOR.

Ah! szkoda, że pani obcą jest łacina!

PANI d'IVRY.

Cóż by mi z tego przyszło?

DE SOR.

Powiedziałbym pani „infandum regina“, czy zrozumiałaś pani?

PANI d'IVRY.

Doprawdy, przypominasz mi pan żywo chwilę naszego poznania się. — Czemże byłam wówczas dla pana?

DE SOR.

Tem, czem i dziś pani jesteś: najpowabniejszą z kobiet!

PANI d'IVRY.

Ostrzegam, że jeżeli usłyszę raz jeszcze z ust pana komplement, wyprawiam go natychmiast nad rzekę. — Wracając jednak do rzeczy, przypominam panu, że gdyśmy się poznali, byłam już mężatką, wszak tak?

DE SOR.

Niestety, tak!

PANI d'IVRY.

Mąż mój, którego mi narzucono w szesnastym roku życia, uznał za stosowne okazać swoją wdzięczność memu ojcu wytoczeniem mu procesu. Wtedy to pan pojawiłeś się na arenie wspólnych nieporozumień, jakby naumyślnie zesłany, by zaostrzyć kłótnię i rozjątrzyć bardziej przeciwników.

DE SOR.

To trudno — kochałem już wtedy panią.

PANI d'IVRY.

A cóż to za niezdolni ludzie ci adwokaci! Znajdą odpowiedź na wszystko. Potrafiłeś więc zaskarbić sobie względy mego ojca i dzięki tobie, rozłączono mnie prawie z panem d'Ivry.

DE SOR.

Czy pani masz za to żal do mnie?

PANI d'IVRY.

Przeciwnie. Zachowam dla pana wdzięczność, której kresem będzie zgon pański. Oto dla czego pragnę przedłużyć ją jeszcze o chwil kilka.

DE SOR.

Och! Antonino, jakże możesz mnie dręczyć w tak okrutny sposób?

PANI d'IVRY.

Masz tobie!.. i on to nazywa dręczeniem! Nie dojdę nigdy do ładu z panem, jeżeli będziesz tak przesadnie drażliwym. Wysłałam moją wyobraźnię, by roztoczyć przed wzrokiem pańskim, nakształt owych uroczych krajobrazów nad brzegami Arno, najpiękniejsze kwiaty mojej młodości, przywodzę mu na myśl wspomnienia pierwszych chwil radości i szczęścia, które jemu zawdzięczam... i pan to śmiesz nazywać okrutnem dręczeniem!.. Pozwól sobie powiedzieć, że jesteś najniewdzięczniejszym z ludzi, niezdolnym tetrykiem i że najlepiej zrobisz, rzucając się do rzeki.

DE SOR.

Łaj mnie pani, ile ci się podoba, tylko nie mów z lekceważeniem o tem, co stanowi treść mego życia.

PANI d'IVRY.

A więc popraw się pan... A teraz przechodzę do konkluzji i będę usiłowała utrzymać należytą powagę, aby nie zasłużyć na nową naganą ze strony pańskiej. Jak panu wiadomo, chowaliśmy się razem z moim kuzynem Maurycym; jesteśmy prawie w równym wieku, on może o rok lub dwa starszy odemnie. — Po-

kochaliśmy się jeszcze dziećmi i byłabym wyszła za niego, gdyby nie mój ojciec, który uznał go za zbyt młodym dla mnie.

DE SOR.

Ojciec pani miał zupełną słuszość. — Mąż powinien być starszym od żony przynajmniej o lat dziesięć.

PANI d'IVRY.

Właśnie Maurycy...

DE SOR.

Wszak mówiłaś pani przed chwilą, że jest starszym o rok czy dwa...

PANI d'IVRY.

Tak było przed jego wyjazdem do Algieru. Ale przebywa tam już od lat pięciu, a wiadomo panu, że lata kampanii liczą się podwójnie.

DE SOR.

Pani masz odpowiedź na wszystko, tylko, że jej odpowiedzi bywają bezlitosne.

PANI d'IVRY.

Mówisz mi pan o swojej rozpacz... należało widzieć Maurycyego, gdy musiał mnie się wyrzec! — Chciał odebrać sobie życie!..

DE SOR.

A com ja mówił przed chwilą?

PANI d'IVRY.

Ale nie, nie spełnił swego zamiaru i dobrze uczynił, jak pan widzisz. — Wstąpił do szkoły wojskowej St. Cyr, a po dwuletnim tam pobycie wyjechał do Algieru. Pan, który ani na chwilę nie straciłeś mnie z oczu, możesz najlepiej zaświadczyć, czy tak za życia d'Ivry, jak i po rozłączeniu się z nim, wykroczyłam choćby cieniem tylko przeciwko zaprzysiężonej wierze małżeńskiej.

DE SOR.

No, były małe koncesye!.. Korespondowałaś pani od czasu do czasu z panem Maurycym.

PANI d'IVRY.

Możesz mi pan wierzyć lub nie, ale upewniam cię, że Maurycy otrzymał odemnie tylko jeden, jedyny list, w którym donoszę zarazem, że może powrócić za rok. Gdyby nie to, Maurycy nie znałby nawet charakteru mego pisma.

DE SOR.

Doprawdy, więc przez te siedm lat nie miałaś żadnych wiadomości o nim?

PANI d'IVRY.

O co do tego — to nie, skłamałabym gdy-

bym temu zaprzeczała. Matylda, którą on nazywa swoją małą siostrzyczką, korespondowała z nim i dzieliła się ze mną wiadomościami.

DE SOR.

Mała źmijka!

PANI d'IVRY.

To wszystko powiedziałam panu, gdyś mi zaczął mówić o swojej miłości, a dziś powtarzam raz jeszcze, dodając, że kocham pana o tyle, o ile można kochać człowieka...

DE SOR (*kończąc*).

Którego się nie kocha.

PANI d'IVRY.

Ale którego się szanuje i ceni tak wysoko, że jedynym pragnieniem jest doczekanie się sposobności okazywania mu tego czynem.

DE SOR.

Jakież więc przymioty trzeba posiadać, by pozyskać serce pani?

PANI d'IVRY.

Trzeba być podobnym do Maurycego.

DE SOR.

Jakże on wygląda, ten pan Maurycy?

PANI d'IVRY.

Maurycy ma lat 24, jest bladym, szczupłym blondynem; łagodny, poetyczny... Raz, pamiętam, przebrałam go w moją suknię, wyglądał jak panienka.

DE SOR.

Ha! widzę, że nie czułbym się na siłach walczenia z tyloma przymiotami.

PANI d'IVRY.

Mój Boże, nie chodzi tu o te przymioty, ale o niezatarte niczem ślady pierwszych wspomnień. Cóżem ja temu winna, jeśli w tym kaptanie, którego przeklinasz, odnajduję ukochanego towarzysza zabaw dzieciennych?... Niestety! jeden sen tylko w życiu bywa prawdziwie czarnym.

DE SOR.

Nie potrzebujesz mi pani mówić o tem.

PANI d'IVRY.

Czyż to moja wina, że samo wspomnienie Maurycego sprowadza mi pełne rozkosznych dreszczy wzruszenie? Czy to moja wina, że przeszłość, niby pełen żywych barw kalejdoskop, przesuwa się przed memi oczyma? Czy to moja wina, że dzięki jemu, odnajdywałam na jawie najskrytsze pragnienia mego serca, marzenia mojej wyobraźni? Tu widzę malownicze

okolice Normandyi, te pagórki i te łąki ukwiecone, tu znów wąwozy, gdzie ojcowie nasi, dziećmi jeszcze, przerywali swe zabawy, by wsłuchiwać się w echo bitew, staczanych w pobliżu. — A tam dalej, strumyk srebrzysty, okolony kępami niezapominajek i stokroci, miasteczko rodzinne, kościół z prastarą dzwonnica, odzywającą się po trzykroć w życiu każdego z nas: przy chrzcie, przy ślubie i pogrzebie. Oto na cośmy razem patrzyli, ukochali, wplekli wspólnie w nić naszego życia. Oto co mi przypomina mego towarzysza lat dziecińczych i oto, czego pan żądasz, bym zapomniała!

DE SOR.

Pojmuję, że to niemożliwe.

PANI d'IVRY.

Zresztą, nie wyliczam panu jeszcze wszystkich przymiotów Maurycego.

DE SOR.

Za co jestem pani nieskończenie obowiązany.

PANI d'IVRY.

Sam go osądzisz, skoro go poznasz.

DE SOR.

Nie pragnę tego bynajmniej.

PANI d'IVRY.

Zaręczam, że, poznawszy go bliżej, przywiążesz się pan do niego.

DE SOR.

Mogę panią z góry upewnić, że to ostatnie nigdy nie nastąpi.

PANI d'IVRY.

Nie zapieraj się pan, wszakże lubisz poetów.

DE SOR.

Ja?

PANI d'IVRY.

I sam jesteś nawet potroszę poetą... choć nie wyglądasz na to.

DE SOR.

Tylko tego jeszcze brakowało do zarzutów czynionych mi przez panią!

PANI d'IVRY.

Poznasz w nim prawdziwy typ bohatera z romansu, średniowiecznego trubadura, księcia z tysiąca i jednej nocy, a nadewszystko skończonego artystę-muzyka!

DE SOR.

Czy to być może?

PANI d'IVRY.

Dzięki jemu pojęłam cały czar klasycznej

muzyki, poznałam całą piękność i podniosłość arcydzieł takich mistrzów, jak Beethoven, Mozart, Haydn i Weber. Bo czyż muzyka nie jest tak dobrym, jak inne, językiem?

DE SOR.

Z tą różnicą, że tylko nie wielka garstka śmiertelników umiejętnie się nim posługuje, reszta zaś kaleczy go z iście barbarzyńską zacięłością.

PANI d'IVRY.

Najulubieńszym naszym utworem było „Zaproszenie do walca“ Webera. Ten klejnot muzyczny stanowił dla nas najcudniejszy poemat, a każda jego nuta przyspieszała bicie serc naszych, odzywając się w nich niby echo miłosego zaklęcia. Maurycy przybywał zwykle o zmroku... mniej więcej o tej porze, zastawał mnie przy fortepianie... *(wstaje i siada do fortepianu)*. Machinalnie przebiegałam palcami po klawiaturze, chcąc skrócić sobie czas czekania na niego, ale wkrótce przyzwyczajenie brało górę i mimo woli z pod palców moich płynęła ukochana melodia nasza *(gra po cichu)*. Gdy dochodziłam do tej części, zjawiał się niepostrzeżenie.

SCENA JEDENASTA.

CIŻ SAML — MAURYCZY *(w oficerskiem ubraniu ukazuje się w głębi, przeprowadzony przez Piotra, którego ruchem ręki oddala)*.

PANI d'IVRY *(z wzrastającym rozrzewnieniem)*.

Stał cicho, bez hałasu, nie chcąc mi prze-

rywać... Nie widziałam go, nie słyszałam, czułam jednak, że się zbliża... *(Maurycy zbliża się na palcach)*. Kiedy brałam ten akord, był już przy mnie i nachylał się nad moją głową, oddech jego muskał moje włosy, a usta szeptały głosem rzewnym, tklwym, namiętym: Antonino, droga Antonino!

MAURYCZY, *(który zachował się podług wskazówek pani d'Ivry, odzywa się głosem grubym, basowym)*.

Antonino, droga Antonino!

PANI d'IVRY *(przestraszona)*.

O, mój Boże! *(odsuwa się)*.

MAURYCZY *(przytrzymując ją w objęciach)*.

Antonino!

PANI d'IVRY *(widząc Mauryczego, woła)*.

Na ratunek!

MAURYCZY.

Ależ to ja!

PANI d'IVRY.

Co za ja? Kto pan jesteś?

MAURYCY.

Ja, Maurycy, czyż mnie pani istotnie nie poznajesz?

PANI d'IVRY.

Daruj mi pan... owszem, poznaję cię, tylko że jesteś tak bardzo...

MAURYCY.

Dokończ pani.

PANI d'IVRY.

Nie... nie... chciałam powiedzieć, że spodziewaliśmy się ciebie dopiero jutro.

MAURYCY.

W samej rzeczy, moja droga, miałem przybyć dopiero jutro, lecz fale i wiatry sprzyjały moim miłosnym zapalom, pozwoliły mi przepłynąć morze w 48 godzin i skutkiem tego mogłem przyspieszyć o jeden dzień mój przyjazd. *(zdejmuje szablę i kładzie ją wraz z kepi na stole)* A teraz, najdroższa Antonino, pozwól, niechże ci się przypatrzę!

DE SOR *(zbliżając się)*.

Przepraszam pana, pozwolisz, że ja najprzód pożegnaj gospodynię, a następnie będziesz się pan mógł przyglądać jej do woli.

MAURYCY.

O! panie, to ja powinienem prosić go o przebaczenie... tak byłem zajęty moją piękną kuzynką, że nie zauważyłem pańskiej obecności.

DE SOR.

Nie dziwię się temu wcale i nie mam żalu do pana.

PANI d'IVRY *(z pewną obawą)*.

Odchodzisz pan?

DE SOR.

Nie sędzę, byś mnie zatrzymać usiłowała... Żegnam cię więc, Antonino, i pozostawiam z bohaterem romansu, rycerzem średniowiecznym i poetycznym księciem z tysiąca i jednej nocy.

PANI d'IVRY *(zawstydzona)*.

A!.. Czy odwiedzisz pan nas jutro?

DE SOR.

Przed dziesięcioma minutami byłbym odpowiedział: nie!

PANI d'IVRY.

A teraz?

DE SOR.

Teraz powiem: być może. *(robi kilka kro-*

ków i wraca). W razie, gdybyś pani potrzebowała zasięgnąć mojej rady, proszę nie zapominać, że jestem zawsze i o każdej godzinie na jej usługi. (*wychodzi*).

SCENA DWUNASTA.

MAURYCY. — PANI d'IVRY.

MAURYCY (*patrząc za odchodzącym*).

Kto jest ten pan, oddalający się z tak posępną miną.

PANI d'IVRY.

Pan de Sor.

MAURYCY.

Co za jeden?

PANI d'IVRY.

Pytasz się o to?

MAURYCY.

Sądzę, że niema w tem niedyskrecyi?

PANI d'IVRY.

Nie znasz więc jednego z najslawniejszych naszych adwokatów?

MAURYCY.

Wiesz dobrze, droga Antonino, że my, wojskowi, mamy mało nabożeństwa do tych panów.

PANI d'IVRY.

Odplacacie sobie wzajemnością! Dość by mi jednak wyrzec słówko, by zmienić twoje uprzedzenia co do tego przynajmniej prawnika.

MAURYCY.

Ciekawym bardzo.

PANI d'IVRY.

On to prowadził i pomyślnie zakończył moją sprawę rozwodową.

MAURYCY.

O, to zmienia postać rzeczy i skłania mnie całkiem na jego stronę!

PANI d'IVRY.

Czy na tem ograniczają się pańskie zapytania?

MAURYCY.

Naturalnie.

PANI d'IVRY.

Mam nadzieję, że z kolei zapytasz się o moje zdrowie?

MAURYCY.

O twoje zdrowie, kuzynko? ależ to zbytczne,
wyglądasz jak róża!

PANI d'IVRY.

Niewymownie mnie to cieszy.

MAURYCY.

Jesteś olśniewająco piękną!

PANI d'IVRY.

Dajże pokój, bo posądzę cię, żeś służył pa-
nu de Sor za echo...

MAURYCY.

Jakto, pan de Sor pozwala sobie na podobne
uwagi.

PANI d'IVRY.

Wskaż mi artykuł prawa, któryby mu tego
zabraniał!

MAURYCY.

Ale ja mu zabronię!

PANI d'IVRY.

Ha! ha! pan kapitan już sięga do szabli!

MAURYCY.

Nie mam nic przeciw temu, by cię uważano
za najpiękniejszą z kobiet, ale biada temu, kto
się ośmieli w oczy ci to powiedzieć!

PANI d'IVRY.

Czy tak?

MAURYCY.

Nie inaczej!

PANI d'IVRY.

Mimo twoich pogroźek, powtórzy mi to nie
raz, ale setki razy...

MAURYCY.

Wymień tego śmiałka!

PANI d'IVRY.

Moje zwierciadło!

MAURYCY.

Miałabyś być zalotną, Antonino?

PANI d'IVRY.

Zdaje mi się, że byłam nią zawsze trochę...

MAURYCY.

Hm! to dziwne!

PANI d'IVRY.

Dla czego?

MAURCY.

Nie, nie... (*po chwili*) Ale czy wiesz, żem cię jeszcze nie pocałował.

PANI d'IVRY.

Przypomniałeś to sobie nareszcie, panie kapitanie?

MAURCY (*całując ją*).

Droga Antonino!

PANI d'IVRY.

Kochany Maurcy!

MAURCY.

Przyznaj, że przybyłem w porę...

PANI d'IVRY.

Nie przeczę, właśnie mówiłam o tobie...

MAURCY.

Więc kochasz mnie zawsze?

PANI d'IVRY.

Co za pytanie!

MAURCY.

Wszak wiesz, że niekiedy pytamy się umyślnie, by upajać się odpowiedzią.

PANI d'IVRY.

Wcale miła galanterya!

MAURCY.

Czy sądzisz, że przebywanie w tamtych stronach przekształca nas w zupełnych barbarzyńców?

PANI d'IVRY.

No w zupełnych nie...

MAURCY.

Ale trochę...

PANI d'IVRY.

Przekonamy się o tem później.

MAURCY.

Więc teraz jeszcze nie można sądu wydać?

PANI d'IVRY.

Byłoby to zawcześnienie...

MAURCY.

Powiedz mi zatem, kuzynko, co mam robić,

by odzyskać patent na cywilizowanego człowieka?

PANI d'IVRY.

Przedewszystkiem należy przyszyty tę brodę...

MAURYCY.

Dobryś!.. Ja, który byłem z niej tak dumny, którym ją tak starannie pielęgnowałem! — Bo trzeba ci wiedzieć, że mam najpiękniejszy zarost z całego pułku.

PANI d'IVRY.

Nic nie wiedziałam o tem.

MAURYCY.

Antonino, mnie się zdaje, że ty drwisz sobie ze mnie?

PANI d'IVRY.

Nie śmiałałabym!.. (*spogląda na niego i śmieje się*).

MAURYCY (*niespokojny*).

Czemu się śmiesz?

PANI d'IVRY.

Tak sobie... Daruj mi moją ciekawość i powiedz mi, Maurycy...

MAURYCY.

Słucham!

PANI d'IVRY.

Gdzieś podział ten swój śliczny głos o brzmieniu tenorowem?

MAURYCY.

Nie pytaj mnie o to.

PANI d'IVRY.

Czemu?

MAURYCY.

Zawdzięczam to mojej karyerze wojskowej. W miarę awansu, z tenora stawałem się barytonem, aż w końcu zjechałem do basu. Tak niestety!.. Masini ustąpił miejsca Lassalle'owi, a Lassalle...

PANI d'IVRY.

Millerowi... i dlaczego?

MAURYCY.

Czy podobna krzyczyć tenorowym głosem: „Czterech w rzędzie, naprzód marsz!”

PANI d'IVRY.

Pojmuje... ha! trudno... Zamiast „Lunatycki“, będziemy śpiewać „Don Pasquale!”

MAURYCY.

Zarzucałem śpiew.

PANI d'IVRY.

Czy podobna?

MAURYCY.

Śpiew wymaga akompaniamentu, a trudno przecież wozic się z fortepianem podczas kampanii w Kabilii lub na Atlasie...

PANI d'IVRY.

Naturalnie... Ale może zechcesz spróbować fortepianu... świeżo nastrojony!

MAURYCY (*biorąc ją za rękę*).

Droga Antonino!

PANI d'IVRY.

I cóż.

MAURYCY.

Propozycja twoja jest nader tentująca, ale...

PANI d'IVRY.

Ale...

MAURYCY.

Kiedy nie wiem, czy mogę wypowiedzieć...

PANI d'IVRY.

Co?

MAURYCY.

To, co mam na myśli.

PANI d'IVRY.

Ba!

MAURYCY.

Ale nie, nie wytrzymam dłużej, powiem, choćby mnie to miało poniżyć w umyśle twoim.

PANI d'IVRY.

Doprawdy, przerażasz mnie pan.

MAURYCY.

Pośpiech, z jakim pragnąłem cię ujrzeć...

PANI d'IVRY.

Początek nie zapowiada się groźnie.

MAURYCY.

Był przyczyną, że zdążyłem zaledwie złożyć moje rzeczy w hotelu...

PANI d'IVRY.

To bardzo pięknie z pańskiej strony.

MAURYCY.

I podążyłem wprost tutaj.

PANI d'IVRY.

To wyznanie niema w sobie nic przykrego.

MAURYCY.

Ale finał...

PANI d'IVRY.

No, no, odwagi...

MAURYCY.

Droga Antonino!

Kochany Maurycy!

MAURYCY.

Ja... ja umieram z głodu!

PANI d'IVRY (*śmiejąc się*).

Zaiste, nie spodziewałam się podobnego epilogu.

MAURYCY.

Pani się z tego śmiesz?.. śmiesz?.. pani, która wylewałaś łzy nad nieszczęsnym losem

Ugolina? A więc, mam honor oświadczyć jej, że cierpienia tego szlachetnego obywatela Florencyi—były tylko słabym odbłaskiem moich męczarni.

PANI d'IVRY.

O! teraz, na seryo, obawiam się pana.

MAURYCY.

Już ja to zauważyłem!

PANI d'IVRY.

Przecucie nie zawiodło pana (*Maurycy chce ją wziąć za rękę*). O! nie, nie wolno panu zbliżyć się do mnie, dopóki nie zaspokoisz głodu.

MAURYCY.

Opuszczasz mnie, Antonino?

PANI d'IVRY.

Idę spełnić twoje życzenia, signor Ugolino! (*wychodzi*).

SCENA TRZYNASTA.

MAURYCY (*sam*).

Masz tobie! mimo wszystkich zastrzeżeń i ostrożności z mojej strony, nie potrafiłem uniknąć

niekorzystnego wrażenia! Co prawda, to już przed moim wyjazdem z Francji — kobiety odznaczały się wielką wstrzemięźliwością w jeździe; czyżby obecnie przestały zupełnie się pożywiać? To dziwne, sądząc z korespondencji Antoniny, nie byłbym nigdy przypuszczał, że znajdę ją do tego stopnia zmienioną... Siedm lat w życiu kobiety—to coś znaczy!

SCENA CZTERNASTA.

MAURYCY — MATYLDA.

MATYLDA (*uchylając drzwi*).

Czy można wejść?

MAURYCY (*oglądając się i spostrzegając Matyldę*).

Proszę, proszę bardzo...

MATYLDA.

Witam cię, Maurycy.

MAURYCY.

Co za urocze zjawisko! Kto to być może?

MATYLDA.

Jakto, nie poznajesz pan swojej siostrzyczki.

MAURYCY.

Matyllda!

MATYLDA.

Tak: Matyllda!

MAURYCY.

To ma być Matyllda!.. Matyllda, którą pozostawiłem ot takim zaledwie dzieciakiem.

MATYLDA.

Naturalnie... miałam wtedy dwanaście lat...

MAURYCY.

Ach! droga Matylldo... (*poprawiając się*) Przepraszam panią.

MATYLDA.

Jakto, nie pocałujesz mnie?

MAURYCY.

Owszem... przepraszam... nie śmiałem... (*całuje ją nieśmiało*).

MATYLDA.

Oh! pan mnie już wcale nie kochasz!

MAURYCY (*przyciskając ją do serca*).

Drogie dziecko, czyż możesz wątpić o tem?..

MATYLDA.

Byłoby to wielką niewdzięcznością z twojej strony, gdyż ja... kocham cię zawsze.

MAURYCY.

Doprawdy?

MATYLDA.

O tak! pozwól, niech ci się przypatrzę. Ach! jakiś pan piękny!.. jak ci do twarzy w tym mundurze... z temi wąsami!

MAURYCY.

Jakże się cieszę, że choć pani jesteś tego zdania...

MATYLDA.

Dla czego?

MAURYCY.

Bo siostra twoja jest wręcz przeciwnego...

MATYLDA.

Moja siostra?

MAURYCY.

A tak, pragnie bym się pozbył mego zarostu.

MATYLDA.

O! jaka szkoda!

MAURYCY.

Następnie zaś.. (*przybierając jak najśłodszy głos*) czy panią przeraża mój głos?...

MATYLDA.

O! bynajmniej...

MAURYCY.

A jednak siostrę pani tak dalece przestraszył, iż zaczęła wołać na pomoc!

MATYLDA.

Pan żartujesz...

MAURYCY.

Nie, na honor, mówię szczerą prawdę.

MATYLDA.

Czy być może?.. (*nagle*) A to ze mnie roztrzępaniec! Rozprawiam z panem, jak gdyby nigdy nic, zapominając, że po przebyciu stu dwudziestu mil drogi, musisz umierać z głodu i pragnienia, mój biedny tułacz!

MAURYCY.

Pani pytasz się o to?

MATYLDA.

A cóż w tem dziwnego?

MAURYCY.

Więc gdybym istotnie umierał z głodu, nie dziwiłoby to panią?

MATYLDA.

Przeciwnie, współczuję z panem, gdyż sama mam wcale niezły apetyt.

MAURYCY.

Masz pani niezły apetyt, czy podobna?

MATYLDA.

I nie wstydzę się tego wcale.

MAURYCY.

Matyldo, jesteś aniołem!.. Pozwól, że cię raz jeszcze uściskam...

MATYLDA.

Z przyjemnością...

MAURYCY.

Ach! co za urocze stworzenie! (*przytrzymując ją w objęciach*) Powiedz mi, moja siostrzyczko, bo przecież dawniej tak panią nazywałem...

MATYLDA.

O! pamiętam to dobrze, i przykro mi się zrobiło przed chwilą, gdy zacząłeś mówić mi: pani.

MAURYCY.

Więc pozwalasz?

MATYLDA.

On się o to pyta!

MAURYCY.

Otóż chciałem się o coś zapytać...

MATYLDA.

Słucham.

MAURYCY.

Ale trzeba, żebyś mi odpowiedziała szczerze. nie krępując się obawą sprawienia mi przykrości.

MATYLDA.

O cóż chodzi?

MAURYCY.

Czy sądzisz, że Antonina kocha mnie zawsze?

MATYLDA.

Także pytanie... szkaradniku!

MAURYCY.

I pewną jesteś, że uczucie jej przez czas mojej nieobecności nie uległo zmianie?

MATYLDA.

Spotęgowało się jeszcze...

MAURYCY.
To dziwne.

MATYLDA.
Cóż w tem dziwnego?

MAURYCY (z westchnieniem).
O tak, to bardzo dziwne!

MATYLDA.
Niewdzięczny! Nie było dnia, żeby o panu
nie myślała.

MAURYCY.
Doprawdy?

MATYLDA.
Nadzieja przyjazdu pańskiego nappełniała ją
nieopisaną radością i szczęściem...

MAURYCY.
Czy tylko jesteś pewną tego, co mówisz?

MATYLDA.
Ależ spojrzysz w około siebie! O! przepraszam
pana, panie Maurycy.

MAURYCY (zbliżając się do niej).

Wszak i ty dawniej, droga moja Matyldo,
mówiłaś mi po imieniu.

MATYLDA.
Tak, ale dawniej byłam dzieckiem, a dziś...
MAURYCY.

A dziś, kiedy jesteś dorosłą panną...
MATYLDA.

Nie ośmielę się... Ale o czemże to mówi-
liśmy przed chwilą?

MAURYCY.
Na honor, nie pamiętam...

MATYLDA.
A prawda... Pan powątpiewałeś o miłości
Antoniny, a ja na to odrzekłam: Spojrzysz pan
dokoła siebie...

MAURYCY.
Przepraszam, powiedziałaś: spojrzysz dokoła
siebie...

MATYLDA.
Niechże i tak będzie!.. Zresztą, prawdę mó-
wiąc, musiałabym zbyt często się poprawiać,
gdybym chciała i nadal mówić ci: panie...

MAURYCY.

O, tak, to rozumiem!

MATYLDA.

Mówiłam więc: Spójrzj dokoła, Maurycy! Te kwiaty, wazon, kandelabry, to wszystko—przygotowania do mającej się odbyć na cześć twoją uroczystości...

MAURYCY.

A ja głupiec przyspieszyłem mój przyjazd o całe dwanaście godzin i popsulem wam szyki. No, przyznaj siostrzyczko, że skończony ze mnie idyota!

SCENA PIĘTNASTA.

CIŻ SAMI. — PANI d'IVRY.

PANI d'IVRY.

Ładne rzeczy słyszę! Przyznać trzeba, że wcale niepochlebną opinię o sobie wywiozłeś z Afryki!

MATYLDA.

Ach! to ty Antonino!.. Czy wiesz, że ten biedny Maurycy umiera z głodu.

PANI d'IVRY.

Słyszałam już o tem.

MATYLDA.

Dotrzymasz mu towarzystwa, a ja tymczasem pobiegnę uprzedzić Rózię...

PANI d'IVRY.

Nie kłopotuj się, już wydałam stosowne rozkazy. (*do Maurycyego*) Zechciej, waleczny rycerzu, przejść do jadalnego pokoju...

MATYLDA.

O! nie, w jadalnym pokoju zimno jak w piwnicy... Ogień już dawno wygasł na kominku... każe tu przynieść nakrycie... zaczekaj chwilkę, Maurycy.

MAURYCY.

Drogie dziecię!

MATYLDA (*do siostry*).

Nieprawdaż, że to miło witać ukochane osoby, zwłaszcza po siedmioletnim rozłączeniu?... (*wychodzi*).

SCENA SZESNASTA.

PANI d'IVRY — MAURYCY.

MAURYCY (*patrząc na nią*).

Czy wiesz, że Matyllda wyrosła na czarującą pannę.

PANI d'IVRY.

Doprawdy?

MAURYCY.

Na honor, nie jesteś do niej podobną.

PANI d'IVRY.

To znaczy, że nie jestem czarującą?

MAURYCY.

Ale cóż znowu! nie to chciałem powiedzieć...

PANI d'IVRY.

Cóż więc?

MAURYCY.

Ona nie żąda, bym zgolił moją brodę.

PANI d'IVRY.

Daruj... nie przypuszczałam, że tyle do niej przywiązujesz wagi... skoro tak, nie czyn tego.

MAURYCY.

Ona mi nie wyrzuca, że mam zbyt niski głos...

PANI d'IVRY.

I ja nie wyrzucam ci tego bynajmniej... po prostu konstatuje fakt...

MAURYCY.

I ona pierwsza zapytała mnie, czy nie jestem głodny.

PANI d'IVRY.

Co cię zapewne najbardziej wzruszyło.

MAURYCY.

Nie zapieram się... rozrzewniło mnie to do łez.

SCENA SIEDMNASTA.

CIŻ SAMI, PIOTR I RÓZLA (*wnoszą stół nakryty*).

PIOTR.

Z przeproszeniem jaśnie pani, panienka ka-
zała nam tu przynieść stół.

PANI d'IVRY.

Dobrze. (*do Maurycego*) Gdzie wasza wyso-
kość życzy sobie rozbić namioty?

MAURYCY.

Gdzie pani każe.. Byle przy niej, o resztę
mniejsza...

PANI d'IVRY.

Odbłyski dawnej galanterii. (*do służących*)

Postawcie tu... (*do Maurycyego, przysuwając mu krzesło*) Siadaj pan, proszę...

(*Maurycy rozgląda się dokoła*).

RÓZIA.

Pan szuka panienki? Zeszła do kuchni.

PANI d'IVRY.

Matylda do kuchni!.. i po co?

RÓZIA.

Panienka mówi, że pan Maurycy przybywa z Algieru, gdzie przyzwyczaił się pić kawę, przyrządzoną na sposób turecki i poszła zrobić ją sama. Panienka umyślnie uczyła się przyrządzać ją dla pana.

PANI d'IVRY.

Dobrze, możecie odejść!.. Pan zadzwoni, jeżeli będzie czego potrzebował. (*Służba wychodzi*).

SCENA OŚMNASTA.

MAURYCY. — PANI d'IVRY.

MAURYCY.

Ależ to istna czarodziejka z tej mojej uko-
chanej siostrzyczki?

PANI d'IVRY.

A wiadomo, że mamy słabość do czarodziejek!

MAURYCY.

Zwłaszcza, gdy nie odmawiają swej pomocy śmiertelnikom!

PANI d'IVRY.

W czymże ci Matylda dopomogła?

MAURYCY.

Rozjaśniając mi pewną wątpliwość...

PANI d'IVRY.

Jakąż to—jeśli wolno spytać?

MAURYCY.

Byłem jak wędrowiec, zbłąkany wśród palących piasków pustyni... Zważyłem o istnieniu kwiatów, zieleni, o śpiewie ptasząt, o szemrzącym strumyku... Zważyłem o stałości uczuć, wierności, szczęściu... słowem zważyłem o—miłości. Matylda, jakby za dotknięciem laski czar-noksiężkiej, zamieniła skwarną pustynię w naj-rozkoszniejszą oazę, i powróciła mi wiarę, któ-rą utraciłem.

PANI d'IVRY.

Matylda?

MAURYCY.

Tak jest, ona rozproszyła dręczące mnie obawy, droga Antonino!

PANI d'IVRY.

W jaki sposób?

MAURYCY.

Zapewniając mnie, żeś myślała o mnie nieustannie i nieraz wspominała ..

PANI d'IVRY.

Ona to powiedziała?.. pocziwe dziecko!

MAURYCY.

Tak.

PANI d'IVRY.

Zatem powiedziała ci szczerą prawdę.

MAURYCY.

Przypuszczam... ale ja tak łaknąłem tej prawdy, tak potrzebowałem ją usłyszeć!

PANI d'IVRY.

Czyż ci nie wystarczyło zapewnienie, dane ci na odjezdne?

MAURYCY.

Cóż chcesz... nawet listy twoje, które mi były wszystkim na obczyźnie...

PANI d'IVRY.

Jakto listy?

MAURYCY.

Tak, przybywszy tutaj, droga Antonino, wiesz już... a raczej nie wiesz... Jesteś wprawdzie uosobioną doskonałością, ale są rzeczy... ja trafiłem na złą chwilę...

PANI d'IVRY.

Mylisz się Maurycy. Dla osoby, oczekiwanej z takim upragnieniem, jak ja czekałam ciebie, nie może być złej chwili.

MAURYCY (*zabierając się do jedzenia*).

Droga Antonino!

PANI d'IVRY.

Jednakże pozwól, że cię zapytam.

MAURYCY.

O co?

PANI d'IVRY.

O jakich listach, jeśli wiedzieć wolno?

MAURYCZY.

O twoich, piękna pani.

PANI d'IVRY.

O moich?

MAURYCZY.

O czyich-że?... Ale co znaczy to zdziwienie, czyżbym przemawiał niezrozumiałym dla ciebie językiem.

PANI d'IVRY.

Zdaje mi się...

MAURYCZY (*zajadając z apetytem*).

Co za żarty!

PANI d'IVRY.

To nie są wcale żarty... i ja żądam natychmiastowego wyjaśnienia. Powiedziałeś przed chwilą: „Nawet twoje listy...”

MAURYCZY.

I nie cofam tego, oceniając należycie szczęście i zaszczyt, jaki mi sprawiało twoje drogie pismo, kochana Antonino.

PANI d'IVRY.

Ależ ja pisałam raz jeden tylko.

MAURYCZY.

Raz jeden?

PANI d'IVRY.

Tak jest, donosząc ci, że jestem wolną, że kocham cię zawsze, i że wierna danemu przyrzeczeniu, oczekuję twojego powrotu... Czy nie otrzymałeś mego listu?

MAURYCZY.

Owszem... ale jakkolwiek ten zawierał pomyslniejsze nowiny, nie zapomniałem jednak i o innych.

PANI d'IVRY.

O innych? Co pan chcesz przez to powiedzieć?

MAURYCZY.

Posłuchaj mnie Antonino, jestem jeszcze bardzo głodny i powinienbym dopiero po kolacyi rozpocząć z tobą tak ważną dyskusję... lecz w obec postawionej w ten sposób kwestyi, nie pozostaje mi nic innego, jak wręcz ci oświadczyć...

PANI d'IVRY.

Mówże, mówże prędeży.

MAURYCZY.

Nie jeden, ale sto, dwieście, pięćset listów, odebrałem od ciebie.

PANI d'IVRY.

Odemnie?

MAURYCZY.

Tak kochana Antonino, i powtarzam ci raz jeszcze, że te listy były wszystkim dla mnie. Gdyby nie one, kto wie, czy nie złożyłbym życia mego w ofierze ojczyźnie!

PANI d'IVRY.

Więc to moje listy ocaliły ci życie?

MAURYCZY.

Bezwątpienia...

PANI d'IVRY.

Kiedy tak, mój drogi Maurycy, muszę otworzyć ci oczy... Wiem, że to co powiem, jest straszne i okrutne... ale trudno! Otóż, zapewniam cię słowem, że mimo twoich nalegań i pogroźek przy rozstaniu się naszym... póki żył mój mąż,—nie odezwałam się ani razu do ciebie.

MAURYCZY.

Nie pojmuję celu tej mistyfikacji?...

PANI d'IVRY.

Po śmierci pana d'Ivry, otrzymałeś, jak wszyscy, zawiadomienie o jego zgonie; po ukończe-

niu zaś żałoby napisałam do ciebie list... pierwszy, ostatni i jedyny, jaki kiedykolwiek otrzymałeś odemnie.

MAURYCZY.

A ja ci powiadam Antonino, że posiadam pięćset listów, pisanych twoją piękną rączką.

PANI d'IVRY.

Postradałeś zmysły, kochany Maurycy!

MAURYCZY.

Tegoby jeszcze brakowało! Na dowód, że jestem w pełnem posiadaniu moich władz umysłowych, pokażę ci śliczną, arabską szkatułkę, jaką nabyłem umyślnie do przechowywania tych moich relikwji...

PANI d'IVRY.

Wzrusza mnie bardzo ta subtelność z twojej strony, ale bądź tak dobry i zrób mi jedną łaskę...

MAURYCZY.

Z przyjemnością... o cóż chodzi?

PANI d'IVRY.

Pokaż mi te listy?

MAURYCY.

I owszem... pojmujesz jednak droga Antoni-
no, że mimo całej wartości, jaką one mają dla
mnie, nie mogę przecież nosić pięciuset listów
przy sobie.

PANI d'IVRY.

Gdzież one są?

MAURYCY.

W hotelu... Spoczywają w swojej szkatułce,
zamkniętej w kufrze.

PANI d'IVRY.

Przyznam ci się, że umieram z ciekawości
ujrzenia ich.

MAURYCY.

Hotel jest o parę kroków ztąd, jeżeli chcesz,
pobiegnę po nie...

PANI d'IVRY.

Nie uwierzysz, jak mi przykro, że cię utru-
dzam i zmuszam do przerwania kolacyi, ale ca-
ła ta sprawa interesuje mnie zbyt żywo, bym
nie przyjęła twojej ofiary.

MAURYCY.

Za chwilę będę z powrotem...

PANI d'IVRY.

Więc obstajesz przy swoim?

MAURYCY.

Najzupełniej...

PANI d'IVRY.

Spiesz się zatem... Oczekiwać cię będę z go-
rączkową niecierpliwością.

MAURYCY.

Biegnę...

SCENA DZIEWIĘTNASTA.

MATYLDA (*wnosi kawę na tacy*).

Oto twoja kawa, Maurycy... Czarna, słodka
i gorąca... jak lubisz.

MAURYCY.

Ach!.. mam co innego jak kawę w głowie..
(*wychodzi*).

SCENA DWUDZIESTA.

MATYLDA.—PANI d'IVRY.—DE SOR.

MATYLDA (*stawiając na stole*).

Co mu się stało?.. Gdzież tak szybko wybiegł?

PANI d'IVRY.

Nie, doprawdy, to nie do uwierzenia?

MATYLDA.

Co takiego?... O co wam chodzi?

PANI d'IVRY.

Och! jestem wściekła... płakałabym ze złości..

MATYLDA.

Ależ co ci jest, Antonino?

PANI d'IVRY.

I on śmie mi zadawać kłam w oczy!

MATYLDA.

O cóż wreszcie chodzi?

PANI d'IVRY.

Wmawiał we mnie z całą bezczelnością, że pisywałam do niego co tydzień... Słyszałaś coś podobnego?

MATYLDA.

O Boże!

PANI d'IVRY.

Że posiada z pięćset moich listów!

MATYLDA.

Oh!

PANI d'IVRY.

Naturalnie, przeczyłam temu, a on chcąc mnie przekonać, pobiegł po nie do hotelu... *(słysząc dzwonek)*.

MATYLDA.

Dzwonią!

PANI d'IVRY.

Czyżby to już był on!

MATYLDA.

Co tu począć?

DE SOR *(za sceną)*.

To zbyt uczynne, Piotrze, wiesz dobrze, że nie uważają mnie tu za gościa...

PANI d'IVRY i MATYLDA.

Pan de Sor!

SCENA DWUDZIESTA PIERWSZA.

CIŻ SAMI.

PANI d'IVRY.

Wejdz pan, proszę!

DE SOR.

Czy nie przeszkadzam?

PANI d'IVRY.

Wszak wiesz, że jesteś zawsze mile witany i pożądanym.

DE SOR.

Przepraszam za moje najście... Siedziałem w oknie... oddychając świeżym powietrzem... Są chwile w życiu, że się potrzebuje gwałtownie zaczerpnąć powietrza...

PANI d'IVRY.

Wierzę bardzo... ja sama, duszę się w tej chwili...

DE SOR.

Naraz, przy jasnym świetle księżyca, spostrzegam pana Maurycego bladego, zmienionego, bez kapelusza na głowie, który pędzi jak szalony. Wycieczka o tak spóźnionej porze i w tak dziwnych warunkach, zrodziła w umyśle moim podejrzenie, czy tu nie zaszedł jaki wypadek, i nie namyślając się długo... przybiegłem...

PANI d'IVRY.

Także bez kapelusza.

DE SOR.

Na honor... prawda!

MATYLDA (*szeptem*).

Antonino!

PANI d'IVRY.

Co?

MATYLDA

Maurycy powróci zaraz.

PANI d'IVRY.

Cóż ztąd?

MATYLDA.

A będąc w stanie rozdrażnienia...

PANI d'IVRY.

On rozdrażniony... a to zabawne!

MATYLDA.

Gdy zastanie pana de Sor...

PANI d'IVRY.

Jestem tu panią i mam prawo, sądzę, przyjmować kogo mi się spodoba.

MATYLDA.

Zapewne, ale spotkanie to może wywołać nieporozumienie, sprzeczkę...

PANI d'IVRY.

Prawda, masz słuszność... (*do pana de Sor*).
Wydź ztąd, mój przyjacielu. (*słychać dzwonek*)

MATYLDA.

To on!

PANI d'IVRY.

Tak, to on, oddalmy się (*wychodzą*).

SCENA DWUDZIESTA DRUGA.

MATYLDA. (*sama*)

Zostawiają mnie samą... tego się najwięcej
lękałam... Co ja mu powiem?... jakże się uspra-
wiedliwie?

MAURYCY (*za sceną*).

Dobrze Piotrze, dobrze...

SCENA DWUDZIESTA TRZECIA.

MAURYCY. (*wchodząc*)

Ach!

MATYLDA.

Maurycy!

MAURYCY.

Gdzie jest pani d'Ivry?

MATYLDA.

W swoim pokoju.

MAURYCY.

Pójdę tam!

MATYLDA.

Zaczekaj chwilkę.

MAURYCY.

A to na co?

MATYLDA.

Zaczekaj chwilkę, błagam cię o to!

MAURYCY.

Nie mogę, ani sekundy.

MATYLDA.

Maurycy... zaklinam cię...

MAURYCY.

Ale ty nie wiesz, co tu zaszło...

MATYLDA.

Przeciwnie... wiem wszystko.

MAURYCY.

Antonina zarzuca mi kłamstwo, utrzymuje,
że nigdy do mnie nie pisała.

MATYLDA.

Maurycy!

MAURYCY.

Co takiego?... Czy masz mi co do powiedze-
nia, siostrzyczko?

MATYLDA.

O, tak!

MAURYCY.

Mów zatem... słucham cię!

MATYLDA.

Nie, nie mogę... nie ośmielę się nigdy!

MAURYCY.

Czemuż to siostrzyczko?

MATYLDA.

Nie, nie mogę!

MAURYCY.

Obawiasz się mnie?

MATYLDA.

Najbardziej ciebie!

MAURYCY.

Musi to być coś bardzo ważnego..

MATYLDA.

Tak, to rzecz wielkiej wagi...

MAURYCY.

Czy to ma jaki związek z listami?...

MATYLDA.

Właśnie.

MAURYCY.

Z listami Antoniny?

MATYLDA.

Z listami, które trzymasz w ręku.

MAURYCY.

Nie rozumiem cię... Czyżby listy, które trzymam w ręku, nie były pisane przez Antoninę?

MATYLDA. (*wstrząsając głową*)

Nie.

MAURYCY (*zdumiony*).

Nie?

MATYLDA.

Nie.

MAURYCY.

Przez kogóż w takim razie?

MATYLDA.

Maurycy, ty mi tego nigdy nie przebaczysz...

MAURYCY.

Mów, mów, drogie dziecko!

MATYLDA.

Przypomnij sobie ów dzień rozstania się z Antoniną...

MAURYCY.

Cóż dalej?

MATYLDA.

Byłam obecną waszemu pożegnaniu i choć nie zwracaliście uwagi na dwunastoletnią dziewczynkę...

MAURYCY.

To ty byłaś?

MATYLDA.

Tak, ja.

MAURYCY.

Owszem, przypominam sobie doskonale... siedziałaś ukryta w kącie i płakałaś tak rzewnie jak i my.

MATYLDA.

Nie mogłam nie płakać, widząc jak bardzo cierpisz... Żegnałeś Antoninę temi słowy: „Odjeżdżam, ale pod jednym warunkiem, że będziesz często pisywać do mnie i powtarzać mi w listach, że kochasz mnie zawsze...”

MAURYCY.

O tak... pamiętam doskonale.

MATYLDA.

A ona odpowiedziała ci na to: „Jakże możesz

żądać, bym listownie zapewniała cię o mojej miłości, skoro mam zostać żoną innego.“ Odparłeś na to: „Pamiętaj to sobie Antonino, że jeżeli zostawisz mnie tydzień bez wiadomości o sobie, przysięgam ci na honor, że nie ujrzysz mnie więcej żywego.“

MAURYCY.

I wierzaj mi, że byłbym święcie dotrzymał przysięgi... tak gorąco kochałem Antoninę...

MATYLDA.

Tego się właśnie najwięcej obawiałam... To też, po twoim odjeździe, prosiłam na wszystko Antoninę, by spełniła twe życzenie. „Nie nalegaj, moje dziecko, rzekła do mnie, skoro dorosniesz, zrozumiesz sama, że to, czego żądasz, jest niepodobieństwem.“ Nadaremnie starałam się wyjaśnić znaczenie tych słów... nie potrafiłam rozwiązać zagadki... Z drugiej strony, myśl, żeś ty dał słowo i że dotrzymasz, męczyła mnie nad wyraz wszelki...

MAURYCY (*stawiając szkatułkę na krześle*).

Mów dalej...

MATYLDA.

O! gdybyś ty wiedział, co ja wycierpiałam wtedy!.. Nie przestawałam myśleć o tobie i o twojej rozpaczy... a za nadejściem nocy widziałam cię we śnie, bladym, zmienionym, rannym na polu bitwy i słyszałam ostatnie twoje słowa: „Antonino, umieram przez ciebie!“

MAURYCY.

O, drogie moje dziecię!

MATYLDA.

Ale Bóg zlitował się nademną i natchnął mnie szczęśliwą myślą. Charakter mego pisma nie różnił się prawie wcale od pisma siostry... a ponieważ ona nie chciała pisywać, postanowiłam więc wyręczyć ją w tym względzie. O! teraz dopiero poznałam cały ogrom mojej winy... a zresztą, choćbym była wcześniej błąd swój poznała, nie przestałabym pisywać do ciebie, zbrakłoby mi siły... ja cię tak kochałam!

MAURYCY.

Więc te cudowne listy, tak pełne poezji i uczucia, które nie tylko podtrzymały moją miłość... ale podwoiły ją... potroiły... te listy...

MATYLDA (*skromnie*).

Były pisane przezemnie... Staralam się przypomnieć sobie to wszystko, coście zwykłe ze sobą mówili... a zresztą...

MAURYCY.

A zresztą...

MATYLDA.

Dyktowało mi serce...

MAURYCY.

I to przez całe siedm lat...

MATYLDA.

Przebac mi Maurycy... kierowały mną najczystsze intencje... później zaś, gdy otworzyły mi się oczy, gdy przejrzałam... było już za późno... a przytem...

MAURYCY.

Mów, mów dalej...

MATYLDA.

Zdaje mi się, że byłabym umarła, nie otrzymując listów od ciebie!...

MAURYCY.

Matylde, droga moja Matylde!

MATYLDA.

Co słyszę?!... Nie gniewasz się na mnie?

MAURYCY.

O! nie...

MATYLDA.

Przebaczasz mi?

MAURYCY.

Aniele ty mój! Nie tylko, że ci przebaczam, lecz błogosławię cię z głębi przepełnionego wdzięcznością serca...

MATYLDA.

O, mój Boże... i powiesz Antoninie...

MAURYCY.

Wszystko co każesz, moja ukochana!

MATYLDA.

Powiedz jej, że byłeś w błędzie...

MAURYCY.

Dobrze.

MATYLDA.

Że te listy nie pochodziły od niej...

MAURYCY.

Dobrze.

MATYLDA.

Ale nie trzeba, żebyś mówił, że to ja je pisywałam...

MAURYCY.

Tak, ale któż w takim razie?...

MATYLDA.

A prawda... Jak my z tego wybrniemy? Posłuchaj Maurycy...

MAURYCY.

Słucham...

MATYLDA.

A gdybyśmy tak zasięgnęli rady bardzo rozumnego człowieka?

MAURYCY.

Zkądże go wziąć?

MATYLDA.

Człowieka, który udziela rady z powołania...

MAURYCY.

Chcesz mówić zapewne o adwokacie?

MATYLDA.

Tak jest... miałam na myśli pana de Sor.

MAURYCY.

Kiedy nie mamy ani chwili do stracenia... potrzebujemy natychmiastowej rady...

MATYLDA.

Jednakże...

MAURYCY.

Patrz, już jedenasta... Trudno, żebym niepokoił pana de Sor o tej porze...

MATYLDA.

On jest tu!

MAURYCY.

Tu?... Gdzie tu?

MATYLDA.

U mojej siostry.

MAURYCY.

A... rozumiem... Pani d'Ivry również pragnęła zasięgnąć porady prawnej.

MATYLDA.

O! jej położenie różni się wielce od naszego, zresztą pan de Sor przybył tu sam nie wzywany.

MAURYCY.

Czy wiesz Matyldo, twoja myśl jest wcale szczęśliwą...

MATYLDA.

A widzisz!...

MAURYCY.

Przedewszystkiem jednak, muszę rozmówić się z Antoniną.

MATYLDA.

Rób jak chcesz.

MAURYCY (*otwierając szkatułkę*).

A teraz pozwól...

MATYLDA (*smutnie*).

Chcesz mi zwrócić moje listy...

MAURYCY.

Bynajmniej... poproszę cię tylko o chwilowe przechowanie ich u siebie.

MATYLDA.

Więc dbasz cokolwiek o *nie*?...

MAURYCY.

Żądam, byś strzegła ich, jak talizmanu, który ocalił życie twemu... bratu...

MATYLDA.

Bądź spokojny, mój drogi...

MAURYCY.

Teraz zaś poproś tu natychmiast Antoninę...

SCENA DWUDZIESTA CZWARTA.

CIŻ SAMI. — PANI d'IVRY.

PANI d'IVRY.

To zbyt uczucie... gdyż oto jestem!

MAURYCY.

Doskonale... Zostaw nas samych, Matyldo...
(*Matylda wychodzi*).

SCENA DWUDZIESTA PIĄTA.

MAURYCY — PANI d'IVRY.

PANI d'IVRY.

I cóż mój panie... proszę o listy.

MAURYCY.

Oto szkatułka...

PANI d'IVRY.

Widzę...

MAURYCY.

Podoba ci się?

PANI d'IVRY.

Śliczna!... cudowna!... ale gdzież są listy?

MAURYCY.

Antonino!... wyznam ci, że chyba podlegam
jakimś czarom... To, co mnie spotyka...

PANI d'IVRY.

Cóż takiego?

MAURYCY.

Klucz od kufra miałem przy sobie, nie
rozstawałem się z nim ani na chwilę... Biegnę
do hotelu... otwieram kufer... i...

PANI d'IVRY.

I cóż?

MAURYCY.

I zamiast pięciuset listów... znajduję jeden,
jedyny... ten wprawdzie wystarczy za wszyst-
kie, gdyż zawiera najpomyślniejszą dla mnie
wiadomość... wiadomość o zbliżającym się ter-
minie naszego ślubu...

PANI d'IVRY.

Więc uznajesz pan nareszcie swój błąd?...

MAURYCY.

Tak, ale ponieważ powracam z krainy, gdzie
fata morgana jest powszedniem zjawiskiem,
więc przekonywam się zarazem, że uległem
złudzeniu...

PANI d'IVRY.

Pod jakim względem?

MAURYCY.

Pod względem miłości twojej dla mnie...

PANI d'IVRY.

Wątpisz pan, że cię kocham?... No, przyznaj,

że to dosyć oryginalne spostrzeżenie w chwili, kiedy trzymasz ten list w ręku...

MAURYCY.

Jeżeli jestem w błędzie, nie trudno będzie sprostować pomyłkę...

PANI d'IVRY.

W jaki sposób?

MAURYCY.

W tym liście, pisesz mi pani, że oddajesz mi swoją rękę.

PANI d'IVRY.

Nie zapieram się tego...

MAURYCY.

Kiedyż zatem nasz ślub?

PANI d'IVRY.

Czemuż pan sam nie oznaczysz terminu?

MAURYCY.

Nie mam prawa do tego... Zastrzegam jednak, że bliższe lub dalsze oznaczenie terminu, będzie probierzem miłości twojej dla mnie.

PANI d'IVRY.

Doprawdy, Maurycy... stawiasz mnie w trudnem położeniu... sama nie wiem...

MAURYCY.

Domyślam się tego... (dzwoni).

PANI d'IVRY.

Co pan robisz?

(Piotr ukazuje się we drzwiach).

MAURYCY.

Proś pana de Sor, który jest w pani pokoju, aby raczył tu się pofatygować. (Piotr wychodzi).

PANI d'IVRY.

Ależ Maurycy, tyś zmyślił postradał!...

MAURYCY.

Bynajmniej, kuzynko. Masz największe zaufanie do pana de Sor, ja zaś powziąłem szczerą sympatyę do niego... (Piotr wprowadza pana de Sor).

PANI d'IVRY.

Przyznam ci się, Maurycy, że postępowanie twoje staje się coraz bardziej zagadkowym dla mnie.

SCENA DWUDZIESTA SZÓSTA.

CIŻ SAMI — PAN DE SOR.

DE SOR.

Stawiam się na rozkaz pani...

PANI d'IVRY.

To nie ja wzywałam pana.

DE SOR.

Któż więc?

MAURYCY.

Ja panie... Zniewoliła mnie do tego sprawa,
od której zawisło moje szczęście.

DE SOR.

Sprawa?... Przeciw komu?

MAURYCY.

Przeciw pani.

DE SOR.

Już?... Czy być może?

MAURYCY.

O! uspokój się pan, tu nie chodzi o separację, przeciwnie...

DE SOR.

I mnie pan obrałeś, jako swego obrońcę?

MAURYCY.

Przeznaczyłem panu lepszą rolę, sędziego
polubownego...

DE SOR. *(do Antoniny)*

Czy mam przyjąć?

PANI d'IVRY.

Ha, niema rady, skoro kuzyn mój żąda tego
koniecznie...

DE SOR.

Słucham pana.

MAURYCY.

Nie obawiaj się pan, załatwimy rzecz całą
w kilku słowach... Kwestya tak jest jasną i pro-
stą... *(wyjmując list Antoniny z koperty)*. Oto
jest list mojej kuzynki.

PANI d'IVRY.

Mam nadzieję, że pan nie będziesz czytał.

MAURYCY.

A to dla czego? Sędziowie potrzebują do-
wodów, kochana Antonino.

PANI d'IVRY.

Maurycy, zabraniam ci tego!

MAURYCY.

Wreszcie, jak chcesz... Pan de Sor, jako twój najserdeczniejszy przyjaciel, kuzynko, jest zapewne dokładnie poinformowany o naszej sercowej sprawie...

DE SOR.

Tak dokładnie, że gdybym nie był już od lat dziesięciu adwokatem, mógłbym śmiało napisać rozprawę na ten temat.

MAURYCY.

To znaczy, że wszelkie bliższe objaśnienia są zbyteczne?...

DE SOR.

Najzupełniej.

PANI d'IVRY.

Ale do czego to wszystko zmierza?

MAURYCY.

Chwilkę cierpliwości... Wiadomo, że pojechałem do Algieru, by szukać niechybnej śmierci na polu bitwy.

DE SOR.

Z przyjemnością konstatuje fakt, kapitanie, iż nie doprowadziłeś do skutku tak brzydkich zamiarów.

MAURYCY.

Kuzynka moja poślubiła pana d'Ivry, pograżając mnie w bezgranicznej rozpacz.

DE SOR.

Żywo współczuję z panem.

MAURYCY.

A co, kuzynko, czy nie mówiłem, że się wkrótce porozumiemy z panem de Sor?

DE SOR.

Kończ pan.

MAURYCY.

Mówiłem więc, że ubóstwiałem Antoninę i że ona odpłacała mi wzajemnością... Wszak tak?

PANI d'IVRY (*nerwowo*).

Pan już wie o tem.

MAURYCY.

Tak?

DE SOR.

Tak panie, miałem zaszczyt usłyszeć to z ust pani.

MAURYCY.

Po śmierci pana d'Ivry i po ukończonej żałobie, moja kuzynka nie omieszkła napisać do mnie i w tym oto liście, ofiarowała mi swoją rękę, zachęcając do prędkiego powrotu... Po wróceniu, jestem, ofiarowaną mi rączkę przyjmuję i pytam kiedy ślub?

DE SOR.

Jak to, pan mnie o to pytasz?

MAURYCY.

Naturalnie.

DE SOR.

Mnie?!

MAURYCY.

I czemużby nie?

PANI d'IVRY.

Więc to w tym celu wezwałeś tu pana?

MAURYCY.

Dzień, który pan oznaczysz, będzie dniem naszego ślubu... Może jutro?...

PANI d'IVRY.

Jutro?... Co za myśl!

MAURYCY.

Więc pojutrze...

DE SOR.

Pilno panu, jak uważam!

MAURYCY.

Czy to pana dziwi, że chcę przyspieszyć chwilę szczęścia?... Zresztą, jeżeli kuzynka moja uważa, że należy czekać jeszcze tydzień, a pan się temu nie sprzeciwia...

DE SOR.

Ależ panie... tydzień...

MAURYCY.

No, to za dwa tygodnie... za miesiąc... Jeszcze za wcześnie?... no, to dajmy na to za kwartał!...

PANI d'IVRY.

Co za męka!

DE SOR.

Ależ panie, czy pan nie widzisz, że pani nie chce ani jutro, ani pojutrze, ani za miesiąc, ani za kwartał, ani... nigdy!

PANI d'IVRY.

Ach! *(pada na krzesło nawpół omdlała)*.

MAURYCY.

Tak pan sądzisz?

DE SOR. *(wskazując na Antoninę)*

Patrz pan, to pańskie dzieło!... Pani d'Ivry zasłała... Róziu!... Róziu!...

MAURYCY.

Nie dzwoń pan, nie potrzeba! Ja jestem sprawcą złego i ja jeden powinienem je naprawić... *(zbliża się do pani d'Ivry, klęka przed nią i mówi najczulszym głosem)*. Antonino! drogo Antonino!...

PANI d'IVRY.

O, Maurycy!

MAURYCY.

Tak, masz słuszość potępiać mnie i złorzeczyć! Postąpiłem z tobą okrutnie, przyznaję... Okrucieństwem z mojej strony było nie pojąć od razu, że przez te siedm lat serce twe uległo zmianie... Czy sądzisz, że gdybym stanął przed tobą taki, jaki byłem przed odjazdem, jakim zachowałaś mnie w pamięci, że to zdołałoby wskrzesić wygasłe ze szczeniem uczucia?... O nie, Antonino!... Wyobraźnia twoja jedynie

ściagała mnie po piaszczystych równinach Afryki... serce pozostało tu... Te siedm lat spędzonych w towarzystwie światłego, uczciwego i rozumnego człowieka, uczyniły z ciebie istotę skończoną, doskonałą; gdy tymczasem ja, zmuszony żyć samotnie, lub obcować z dzikimi i nieokrzesanymi ludźmi, stałem się dziwakiem, zawadyką, typem przeciętnego wojaka. Okrucieństwem więc było żądać, byś dotrzymała obietnicy, w której serce nie brało żadnego udziału, a tylko wrodzona prawdość i uczciwość wskazywały drogę obowiązku. Ale i ty także, Antonino, postąpiłaś ze mną nie mniej okrutnie, nie starając się nawet ukryć niekorzystnego wrażenia, jakie sprawił ci mój widok... *(W tej chwili ukazuje się Matylda i staje na uboczu)*.

SCENA DWUDZIESTA SIÓDMA.

CIŻ SAMI — MATYLDA.

PANI d'IVRY.

O przebac mi, Maurycy!

MAURYCY.

No, teraz już mogę ci zwiastować wielką nowinę.

PANI d'IVRY.

Cóż takiego?

MAURYCY.

Jestem żonaty... od dwóch tygodni!

MATYLDĄ (*usuając się na fotel*).

Żonaty... on jest żonaty!

PANI d'IVRY (*wstając z radością*).

Ach! co słyszę, pozwól, że cię uściskam,
drogi Maurycy!

DE SOR.

I ja także, jeżeli pozwolisz, kapitanie.

PANI d'IVRY.

Któż jest tą szczęśliwą wybraną?

MAURYCY.

Więc mogę ją wam przedstawić?... Nie masz
nic przeciwko temu, Antonino? (*odsuwa ich na
bok i tem samem odsłania Matyldę*).

PANI d'IVRY.

Ależ przeciwnie...

(*Maurycy zbliża się do Matyldy, bierze ją za rękę
i prowadzi na przód sceny. Ona nie stawia oporu, jak-
by obezwładniona i pozbawiona oporu*).

MAURYCY.

Oto moja żona!

MATYLDĄ.

Co?... ja!...

PANI d'IVRY — DE SOR (*razem*).

Matylda?

MAURYCY.

Tak, Matylda!

MATYLDĄ.

Mówiłeś przed chwilą, że jesteś od dwóch
tygodni żonaty...

MAURYCY.

Czy być może?... ja to mówiłem?... No, to
chciałem powiedzieć, że będę nim za dwa ty-
godnie... Język mi się poplątał... wzruszenie
odebrało mi przytomność, darujcie mi, moi
drodzy!...

MATYLDĄ.

O, Maurycy! mój ukochany Maurycy!

MAURYCY.

Czy to za wcześnie, za dwa tygodnie?

MATYLDA.

O nie, nie!... (*cicho*). Kiedy zechcesz, mój drogi... Północ bije...

DE SOR.

Już północ.

MATYLDA.

Zegar spieszy się o siedm minut. Antonina kazała go nastawić podług zegara dworca lyońskiego...

MAURYCY.

Doprawdy?... (*idzie i posuwa wskazówkę*).

PANI d'IVRY.

Co czynisz?

MAURYCY.

Reguluję go z zegarem pałacu sprawiedliwości...

Zasłona spada:

K O N I E C.



75658